

EUROWSTĘPNIAK

Kochani Czytelnicy!

Wiem, że bardzo długo naczekaliście się na poprzedni (czerwcowy) numer naszego periodyku. Był on z grubsza (w komputerze) złożony w pierwszej połowie lipca, jednak ostateczna obróbka i oddanie do druku znacznie się przeciągnęło: absolutny – i oczywisty! – priorytet miały wszystkie wydawnictwa związane z Euroconem...

Za to teraz prezentujemy Wam numer podwójny – powakacyjny i poeuroconowski!

JPP

Nordcon 2000

7-10 grudnia 2000 r.

(7-8, 31 grudnia 2000-1 stycznia 2001)

**TYLKO Z NAMI MOŻESZ BYĆ PIERWSZY
W III TYSIĄCLECIU !!!**

**SPECJALNA UCHWAŁA ZARZĄDU
GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI:**

Zarząd GKF poleca koordynatorowi 14 Konwentu Polskich Klubów Fantastyki NORDCON 2000 Piotrowi Mazurowskiemu przeprowadzić korektę czasową (z wykorzystaniem osiągnięć myśli technicznej 31 wieku) polegającą na przesunięciu okresu (godz. 12⁰⁰ 31 grudnia 2000 roku – godz. 08⁰⁰ 1 stycznia 2001 roku) na analogiczny okres w dniach 9/10 grudnia 2000 roku. Po zakończeniu Nordconu należy przeprowadzić korektę odwrotną – celem uniknięcia chronoklazmu.

Szczegóły na str. 9

URODZINY

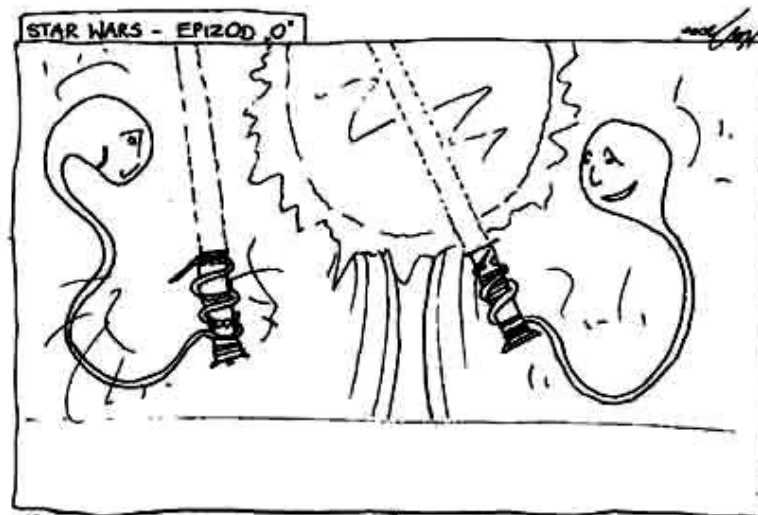
Przed transformacją październik był „miesiącem oszczędzania”.

Dzisiaj jest inaczej, ale apelujemy:
oszczędzajcie!

Do Nordconu 2000 pozostało tylko 95 dni!!!

Kryptokomuchy z Zarządu GKF
i redakcji „Informatora”

- | | |
|--------------------------|----------------------|
| 2 Mieczysław Sierociński | 17 Paweł Chwin |
| 3 Andrzej Zimniak | 18 Maria Szmigiel |
| 4 Elżbieta Sokółska | Maciej Ryniewicz |
| 5 Michał Mochocki | 21 Grzegorz Kozubski |
| Monika Żaboklicka | 22 Andrzej Bartczak |
| 8 Małgorzata Skorupska | Piotr Cisakowski |
| 9 Sebastian Makowski | 28 Mariusz Winniczuk |
| 10 Rafał Gosieniecki | 29 Katarzyna Tańska |
| Krzysztof Grzywnowicz | 31 Łukasz Pejas |
| 13 Tomasz Kołodziejczak | |
| Wojciech Malak | |



KTO ZOSTANIE ANAKINEM ?

KALENDARIUM IMPREZ FANDOMU

wrzesień-grudzień 2000 rok

22-24.09	- 8. Gdańskie Dni Fantastyki VOYAGER 2000, Gdańsk (org. „Angmar” i „Brethren”)
22-24.10	- 2. Turniej M:tG PRERELEASE INVASION, Gdańsk (org. „Angmar”)
1.10	- Konwent ZAHCON, Toruń (org. „Rassun” i „Mithost”)
6-8.10	- Konwent graczy KAPITULARZ 2, Łódź (org. „Kapituła”, „Piana Złudzeń” i „Kopalnia.rpg”)
13-15.10	- Impreza Graczy STRATEGICON 3, Wrocław (org. Melcor”)
21.10	- IV Krakowskie Spotkanie z Fantastyką IMLADRIS, Kraków (org. „Imladris” i „Jabbersmok”)
27-29.10	- Konwent graczy SZEDERIADA, Wrocław (org. „Szedar”)
11-13.11	- Konwent FALCON, Lublin (org. „Syriusz”, „Cytadela” i „Cytadela Syriusza”)
24-26.11	- 14. Konwent Polskich Klubów Fantastyki NORDCON 2000, Jastrzębia Góra (org. GKF)
7-10.12	

GILDIA 2000

Bytów 16 - 20 lipca

Iście niewakacyjna pogoda w najmniejszym stopniu nie popsuła entuzjastycznego nastroju uczestników GILDII 2000. Mury bytowskiego zamku i pobliskiej szkoły były świadkami zmagania wszelkich możliwych zabaw z dziedziny fantastyki - od karcianek, poprzez bitewniaki, gry komputerowe, po gry fabularne i larpy. Przedsięwzięcie zgromadziło trzystu zapaleńców, nierzadko z odległych regionów kraju.

Bohatersko ignorując niewygody bazowe (kwatery w gmachu szkoły luksusów w postaci łazienek i tapczanów z pościelą nie posiadały) oddawano się fantastycznej rozpuście w Szulerniach, Grałniach, Waterloo (bitewniaki), Czarnej Dziurze (kino). Nie zabrakło też prelekcji i spotkań dyskusyjnych (m.in. z wydawcami „Portala”) - oraz pokazów rycerskich tudzież biesiady z pieczonym dzikiem i fajerwerkowym widowiskiem na niebie.

Brawa dla pomysłodawców i organizatorów! Podziękowania dla sponsorów! Do zobaczenia na GILDII 2001!

B.B.

APEL! Artur, 14 lat, przeszczep wątroby:
Caritas Archidiecezji Gdańskiej, BBG III O/GD
11601058-35055013-940 [z dopiskiem „dla Artura”]

Gdański Klub Fantastyki
Klub Fantastyki *Angmar*
Klub Fantastyki *Brethren*
zapraszają na

Voyager 2000

VIII Gdańskie Dni Fantastyki

Odbędzie się w dniach 22-24 września 2000 roku w siedzibie Gdańskiego Klubu Fantastyki – Klubie Osiedlowym 'Maciś', Gdańsk Przymorze, ul. Opolska 2.
Rozpoczęcie godz. 15.00

W programie:

Magic the Gathering:

- Prerelease Invasion
- turnieje: MBC, Standard (Type II), Extended

Gry strategiczne:

- turniej Warhammer 40000
- turniej Mordheima
- konkurs na najlepiej pomalowaną figurkę

Gry RPG:

- sesje prowadzone przez wielu Mistrzów Gry
- konkursy i prelekcje
- LARPy - *Gdańsk Nocą* i inne

Koszt akredytacji: 10 zł
(dla członków GKF 8 zł)
jednodniówki - 5 zł
(dla członków GKF - 4 zł)



Wszecchiwiatowy Zlot Miłośników Fantastyki, RPG, Gier Karcianych i Bitewnych

KAPITULARZ 2 POWRÓT Z ROZPROSZENIA

ŁSMF Kapituła ma zaszczyt zaprosić członków Waszego Klubu na konwent miłośników fantastyki, który odbędzie się w Łodzi, w dniach **13 – 15 października 2000 r.**

Informacje o imprezie:

Czas trwania: Konwent rozpoczyna się w piątek (13) o godzinie 17.00. Program trwa do godziny 14.00 w niedzielę, choć osoby mające późniejsze pociągi mogą zostać w szkole do godziny 16.00

Adres: Łódź, ulica Pojezierska 10, gmach SP nr 65

Koszt: 30 zł. Kobiety i MG płacą 25 zł. Dostępne będą również bilety jednodniowe w cenie 15 zł.

Konwencja: "Diuna" F. Herberta i SF w ogóle. Mile widziane będą stroje dopasowane do konwencji.

W programie m.in.:

- **Prelekcje i dyskusje:** Pisma dla nas, a nie o nas; Mistyka w SF; Cyberpunk 2000; Archeolodzy "Diuny"; Czy "Star Wars" muszą być czarno-białe; Dlaczego gramy postaciami magów; Pułapka przeznaczenia; Jak napisać scenariusz RPG; Elementy *fantasy* w "Diunie"; My, Ziemianie – spojrzenie z lotu UFO i wiele innych.
- **Prezentacje systemów RPG:** AEON Trinity; Fading Suns; Dune; Fusion; Sekskreacja
- **Konkursy wiedzy:** Fantastyka, Twórczość F. Herberta, Twórczość S. Lema
- **LARP-y:** Dune; Fading Suns; Vampire
- **Turnieje gier karcianych:** Magic: the Gathering (Classic, Standard, Extended, Draft), Kult CCG, SimWiocha
- **Sala gier bitewnych:** Warhammer 40K, WarZone
- **Sala komputerowa**
- **Sala Video:** projekcje Anime i klasyki SF
- **Projekcja filmu *Metropolis* z muzyką na żywo**
- **RPG 24 godziny na dobę**

Noclegi: W szkole (należy zabrać karimatę i śpiwór) – w cenie akredytacji lub we własnym zakresie. W szkole dostępny jest prysznic i ciepła woda.

Wyżywienie: We własnym zakresie. Na terenie konwentu będzie dostępny tani bufet.

Więcej informacji: www.kapitularz.prv.pl

E-mail: dacar@kapitularz.prv.pl

Tel: Dacar – 0608 521 963

Organizatorzy: ŁSMF Kapituła, Piana Złudzeń, Kopalnia.rpg

FALKON



Lubelski Klub Fantastyki "Syriusz", Lubelska Sekcja Gier "Cytadela", Lubelskie Stowarzyszenie Fantastyki "Cytadela Syriusza" oraz IV Liceum Ogólnokształcące im. Stefanii Sempolowskiej w Lublinie zapraszają na

Fantastyczny Atak Lublina - FALKON pod hasłem Samhain

Data: 24-26 listopada 2000 roku.

Miejsce imprezy: IV Liceum Ogólnokształcące przy ulicy Szkolnej 4 w Lublinie.

Koszt: 25 zł (z noclegiem w sali zbiorowej-zaopatrzenie się w karimatę i śpiwór) lub 15 zł za dzień. Osoby zainteresowane noclegami w hotelu lub schronisku (od 25zł/noc) są proszone o kontakt z organizatorami. Na miejscu zapewniamy bufetowe żarło i napitek, w pobliżu jest również kilka kafejek i restauracji.

Program: liczne prelekcje i prezentacje, spotkania z pisarzami i tłumaczami, spotkania z redakcjami pism fantastycznych, dyskusje, LARPy (WoD, DP), gry fabularne, bitewne, karciane i komputerowe, turnieje: WFB, M:tG, L5k, SW pokazy iluzjonistyczne, pokazy filmowe, koncert muzyki folkowej, pokazy walk rycerskich, mnóstwo konkursów (już na pewno: ogólnofantastyczny, o twórczości Tolkiena, Sapkowskiego, trylogii Sienkiewicza, na najlepiej pomalowaną figurkę, najfajniejszy strój, WFRP, WoD, Gwiezdne Wojny, komiks, kalambur).

Kontakt:

A) przez internet: pisząc do Krzysztofa Księskiego (ksieski@tinet.pl lub ksieski@poczta.wprost.pl) lub Piotra Gnypa (toread@thor.intercafe.com.pl)

B) zwykłą pocztą: Lubelski Klub Fantastyki "Syriusz" przy Wojewódzkim Domu Kultury, ul. Dolna Panny Marii 3, Lublin.

C) osobiście: zjawiając się w Wojewódzkim Domu Kultury w Lublinie (adres powyżej) w każdy wtorek między 18.00 a 20.00 w sali nr 19 i 22.

D) telefonicznie: Krzysztof Księski 0-502 998-973 lub Piotr Gnyp 0-502 549-177.

Uwaga!!! Liczba miejsc ograniczona.

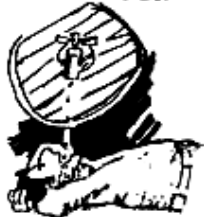
Dwa metry łańcucha

Gry karciane, od kilku już lat na dobre zadomowione w Polsce, zdobyły sobie zarówno wielu zwolenników, jak i przeciwników. Niestety, ogromna rzesza „starych wyjadaczy” traktuje tę formę rozrywki jako niegodną. Twierdzą, że to zabawa dla dzieci. Mieliby rację, gdyby nie istniała „SIM WIOCHA”!!!

W naszym kraju obecnie najbardziej popularne są „Magic: the Gathering” (fantasy) oraz „Star Wars” (oparta na sadze Lucasa). Niestety wszystkie dostępne na rynku gry są drogie i, co tu dużo mówić, prymitywne. Akcji tyle w nich, co w 689 odcinku serialu „Carollina”, humoru co u Tadeusza Drozdy, a strategii co w windowsowskim „Saperze”.

WYDARZENIE

Susza



Uniemożliwia grupom wydawanie PJ w celu podnoszenia UN. Neguje efekt już wypitych jaboli. Trwa do końca tygodnia. Nie może zostać zablokowana.

...o kurwa, ale mnie suszy...

0 1 0

TLUM

Dresiarze

Dresiarze zwiększają swoje UN o 1 jeżeli na podwórku, na którym walczą jest dyskoteka lub remiza.

- Ej, laski, pojedziemy się pieprzyć?
- Hi, hi, hi, tak.

2 BO 2

Na szczęście istnieje wydawnictwo „PORTAL” (a jest ono podobno przykrywką dla tajwańskiej mafii zajmującej się przemytem skarpetek bawełnianych), które w czwartym numerze swego dwumiesięcznika wydało „Sim Wiochę”.

Na czym polega specyfika „Sim Wiochy”? Przede wszystkim na tym, że kart nie trzeba kupować, co w naszych warunkach jest bardzo atrakcyjne. Autorzy i wydawca gry postawili na absolutną anty-komercyjność. Wystarczy bowiem kupić 4 numer „PORTALU”, skserować potrzebne karty, złożyć talę i grać. Nie trzeba kupować nowych, ani pilnować, by przy rozgrywce przeciwnik nie „pożyczył” sobie którejs z kart. To wszystko są plusy. Ale największy z nich to sama rozrywka.

Na początku gracz decyduje, czy jest sołtysiem, czy burmistrzem. Wybór ma wielkie znaczenie (wszak w mieście nie można postawić „Remizy”, a „Sex shop” na wsi

znacznie pogarsza ogólny nastrój społeczeństwa liczony w punktach wkur... - jeśli ich ilość przekroczy magiczną barierę 5 punktów, doprowadza to do wywiezienia burmistrza/sołtysa na taczkach „...sołtys Broniek musi odejść!!!...”).

W czasie rozgrywki gracz musi zdobywać „punkty jabola”, za które można wystawiać na „podwórku” nowe karty: Osoby, Tłumy, Miejsca i Własności, osobno zagrywa się karty Wydarzeń. A kart jest zatrzęsienie: Kombajn „Bizon”, Żul Stanisław, Oddziały Prewencji, Członek Partii Rządzącej, Radio „M”, Skin, Bolek Metalowiec, Pielgrzymka Piesza, Czysto Aryjski Kij Bejsbolowy, Wino Slarkowe 14% oraz wiele, wiele innych (w tym tytułowe Dwa Metry Łańcucha) związanych z naszą polską rzeczywistością.

Gra jest pełna humoru. Czasem w trakcie pojedynków dochodzi do arcyśmiesznych dialogów: „...ładuję ci się Żydami uzbrojonymi w AK-47 na podwórko. Klepię Dresiarzy i robiąc Zamach Bombowy demoluję Dyskotekę...”. Na kartach znaleźć często

WŁASNOŚĆ

Dwa metry łańcucha

Dodają 1 UN dla Punka.

- Dwa metry łańcucha, szybko!
- Zapakować?
- Nie trzeha, napierdalamy się przed sklepem.

0 1 0

można przeróżne teksty w stylu: „...mamo, chcę kupę – ukrój sobie, jest w lodówce...” (karta Rumun), lub „...Bułka, Bułka ty chu...” (karta Wierszyk). Ilustracje także powalają na kolana (obowiązujący standard nakazuje, by wyglądały jak bazgroły 10-latkę ☹). W całej Polsce organizowane są już turnieje tej gry, w których można wygrać kalosze czy „beretkę” z antenką. Ale gracze wolą rozgrywkę w pociągu, na wykładach czy w knajpie. Są bardziej emocjonujące.

Najzabawniejsze jest to, że każdy może zrobić nową kartę. Wystarczy przesłać pomysł do redakcji „PORTALU”, a oni będą wiedzieć co z nim zrobić. Tak stworzyłem m. in. „Cukiernię w Wadowicach” i „Budkę z kebabem”. Zajrzyjcie na stronę <http://www.rpg-portal.pl>, do działu Sim Wiocha. Pozostaje mi tylko nadmienić, że autorem jest krakowianin – Marcin „TELEFAX” Kostecki - oraz zaprosić do rozgrywki. Niech wygra najlepszy!

Artur „ARTUT” Machlowski

WYDARZENIE

Interwencja policji

Blokuje czyn dowolnej grupy.

0 1/10 0

PAŃSTWO

List Informacyjny Nr 1

Nordcon 2000

Nordcon Technologies Ltd. zaprasza na prezentację najnowszych technologii, połączoną z czterodniową konferencją poświęconą działalności i osiągnięciom naszej korporacji.

Uwaga! Rada Nadzorcza Nordcon Technologies Ltd. podjęła decyzję o premierowej prezentacji Chronomethistonu^{*}, ver 0,01 beta, która odbędzie się w sobotę, 9 XII 2000 r. w południe. Za pomocą tego epokowego wynalazku uczestnicy konferencji zostaną przesunięci w czasie do 31 XII 2000. W związku z czym korporacja zaprasza na Bankiet Sylwestrowy. Tylko dzięki nam masz szansę przeżyć Sylwester 2000 dwa razy!

Termin konferencji to 7-10 XII 2000 roku.

Miejsce to Ośrodek Wypoczynkowo-Rekreacyjny „Hutnik”, Jastrzębia Góra.

Koszty uczestnictwa:

1. Akredytacja:

— 50,00 PLN do 6 XII 2000 (dla członków GKF — 40,00 PLN)

— 70,00 PLN *at the door*

2. Noclegi:

— 26,00 PLN za noc/osobę w pokojach 2, 3 i 4 osobowych

Uwaga! Pierwszeństwo do noclegów w pokojach 2 osobowych mają pary różnopłciowe

Termin opłaty — 15 listopada. Przy opłacie późniejszej koszt noclegów rośnie do 30,00 PLN.

— 10,00 PLN za noc/osobę w pokojach 8 osobowych (niezbędne własne karimaty i splwory).

Uwaga! Noclegi w pokojach 8 osobowych opłaca się na miejscu

3. Posiłki:

— 20,00 PLN za całodienne wyżywienie (śniadanie i kolacja po 5,00 PLN, obiad 10,00 PLN)

— opłata za wstęp na Bankiet Sylwestrowy korporacji Nordcon Technologies Ltd. — 20,00 PLN.

Uwaga! Posiłki nieopłacone nie będą rezerwowane.

4. Rezygnacja z uczestnictwa:

— Przy rezygnacji do 10 X 2000 będą zwracane wszystkie wpłaty (z potrąceniem kosztów przekazu). Przy rezygnacji w okresie 11 X — 10 XI 2000 nie zwracamy akredytacji. Od 11 XI 2000 nic nie zwracamy.

* Chronomethiston (z greckiego, *chronos* — czas i *methistemi* — zmieniam) — kodowa nazwa prototypowego wehikulu czasu korporacji Nordcon Technologies Ltd.

Warunkiem uczestnictwa jest wpłacenie akredytacji, opłacenie kosztów noclegu i przysłanie zgłoszenia, lub uiszczenie analogicznych, podwyższonych opłat już w czasie konferencji.

Uwaga! Osoby, które zjawia się bez urzędniczego zgłoszenia – zostaną przyjęte na części zamienne, w ramach akcji humanizacji ubogich cyborgów

I jeszcze raz uwaga! Ilość miejsc jest ograniczona. Gdy się skończy – będziemy z bólem serca odmawiać (w pierwszym rzędzie tym, co nic nie zapłacili)

Program konferencji składa się z licznych prelekcji i spotkań poprowadzonych przez czołowych pracowników naszej korporacji. W programie między innymi: projekcje filmowe, część publicystyczna poświęcona prezentacji najnowszych trendów i technologii, konferencja międzykorporacyjna (forum fandumu), trening samoobrony pod kierunkiem pracowników ochrony (paintball). Wiedza i umiejętności gości i pracowników korporacji zostanie poddana próbie w specjalnych testach (konkursy), w których najlepsi zostaną

uhonorowani certyfikatami świadczącymi o ich kwalifikacjach. Ponadto w ramach programu relaksacyjnego zaistnieje możliwość uczestnictwa w specjalnie przygotowanych w tym celu rozrywkach: rozgrywkach gier interakcyjnych (gry karciane, strategie, RPG i LARPy), loterii korporacyjnej, piżamparty i Balu Sylwestrowym. Na miejscu zaistnieje także możliwość zakupu specjalistycznej literatury w korporacyjnej księgarni.

Konto bankowe GKF: PKO BP I/O Gdynia, nr 10201853-237451-270-1

Adres korespondencyjny Nordcon Technologies Ltd.:

P.O. Box, 80-325 Gdańsk 37.

Informacja: tel. (058) 5531073, e-mail: prezes korporacji (koordynator) Piotr Mazurowski luxor@optimus.poznan.pl; con-sultant ds. organizacyjnych Krzysztof Papierkowski: papier@gkf.3miasto.pl; gry karciane – Adam „Ceti” Cetnerowski: ceti@belka.bl.pg.gda.pl; gry RPG i LARPy – Tytus Kamil „Belphegor” Mikołajczak: belphegor@sedez iq.pl



ZGŁOSZENIE UCZESTNICTWA W KONFERENCJI NORDCON 2000

Imię i nazwisko	
Nr dow. osob.:	Telefon:
Adres zameldowania:	
Adres korespondencyjny:	
E-mail:	
Przynależność korporacyjna (klub fantastyki, pełna nazwa, adres, telefon):	

Zamawiam:

Noclegi

normalne	<input type="checkbox"/>	7/8 grudnia	8/9 grudnia	9/10 grudnia
sale zbiorowe	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>

Posiłki

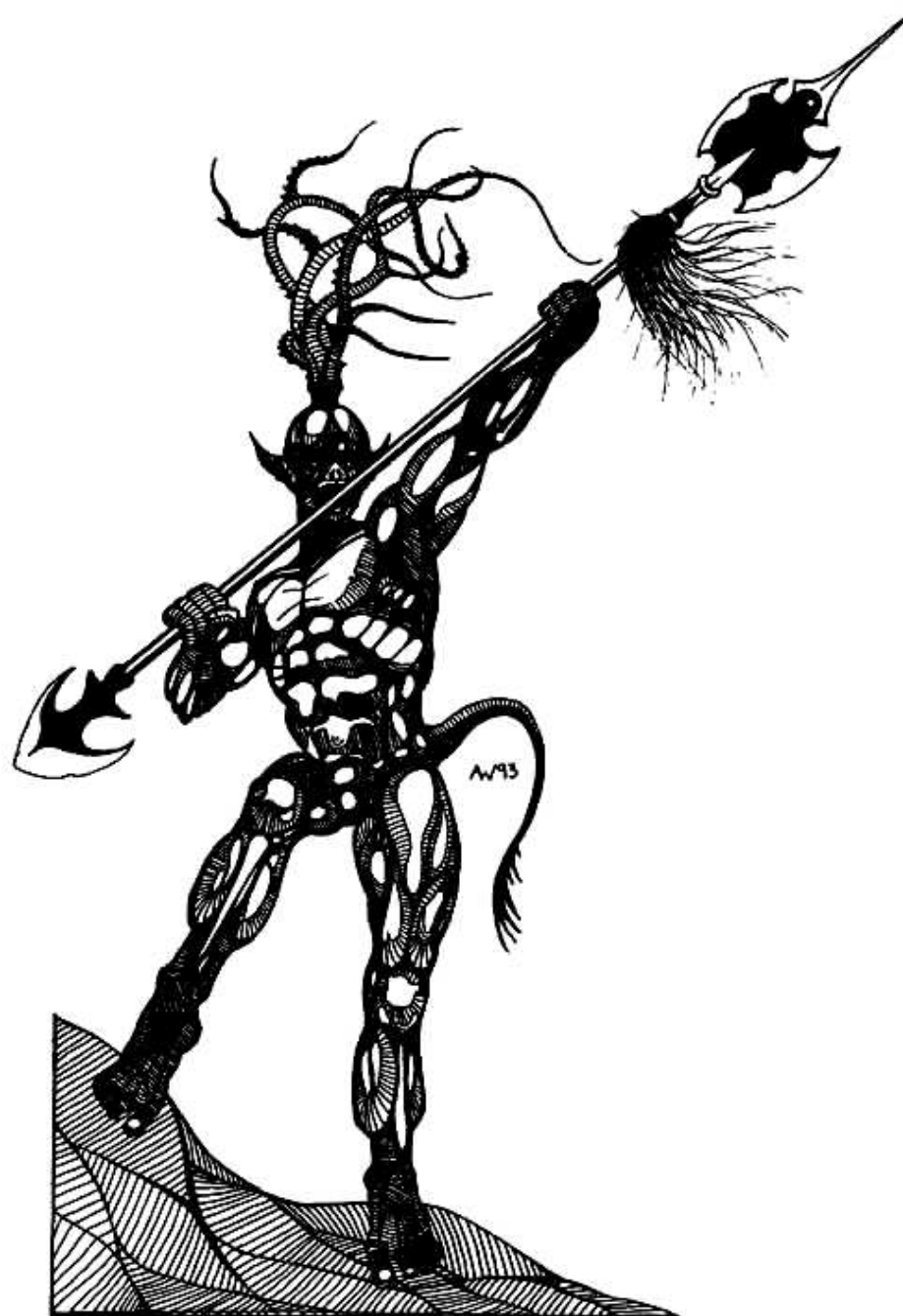
	śniadanie	obiad	kolacja
czwartek 7 grudnia	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>
piątek 8 grudnia	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>
sobota 9 grudnia (31 grudnia)	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	<i>Bankiet Sylwestrowy</i> <input type="checkbox"/>
niedziela 10 grudnia	<input type="checkbox"/>	<input type="checkbox"/>	

Zobowiązuję się do pokrycia wszelkich strat, spowodowanych przeze mnie w czasie konferencji.

.....
data

.....
podpis

Ewentualną korespondencję do organizatorów proszę podać na odwrocie (np. z kim chcesz być w pokoju).



Nowości wydawnicze (niektóre)



Podczas Euroconu/Baltconu/Polconu w Gdyni wydawnictwo SuperNOWA przedstawiło plany wydawnicze na 2000 rok; oto one:

Już wydane:

Rafał Ziemkiewicz „Wybrańcy bogów” – wznowienie,
Marcin Wolski „Pies w studni”,
Jacek Dukaj „W kręgu niewiernych” – potężny zbiór opowiadań,
Zajdel Awards Winners Anthology „Chosen by Fate” – tłumaczenia opowiadań
zajdlistów.

Lada chwila:

Edmund Wnuk-Lipiński „Apostezjon”.

Planowane na jesień:

Anna Brzezińska „Żmijowa harfa” – kontynuacja „Zbójckiego gościńca”, październik;
Ewa Białołęcka „Piolun i miód”,
Eva Montana „Księga wtajemniczenia”,
Krystyna Kwiatkowska – nowa powieść,
Eugeniusz Dębski „Aksamitny Anschluss”,
Jacek Dukaj „Czarne oceany”,
Marek Huberath – nowa powieść,
Tomasz Kołodziejczak „Krew i kamień” – wznowienie,
Andrzej Sapkowski „Leksykon miłośnika fantasy” – wrzesień;
Marcin Wolski – nowa powieść,
Janusz Zajdel „Paradyzja” – wznowienie,
Rafał Ziemkiewicz „Worożycha” – październik.

Natomiast Prószyński i Spółka, otwierając nową serię fantastyczną, wydał:

antologię Klubu Twórcuf „Robimy rewolucję”,
Krystyny Kwiatkowskiej „Prosto z Sherwood” – zbiór opowiadań,
Zdzisława Domolewskiego „Domek świeczki”,
i Jacka Piekary „Arivalda z wybrzeża”.

Poza tym nie znana mi niestety oficyna wydała „mainstreamowo” książkę niejakiego Władysława Kowalewskiego „Bóg zapłać” (podobno rozrachunki z PRL-em, przemiana pokoleniowa, akcja dzieje się za 50 lat).

Marcin Szklarski

SCIENCE SANS FICTION



ROBOTYKA:

TERMINATOR & HANNIBAL?

Uczeni z Uniwersytetu Południowej Florydy (Tampa) stworzyli robota, który jest napędzany baterią przerabiającą resztki organiczne. Przepada za cukrem w kostkach!

Jest jednak wegetarianinem. Jego twórcy twierdzą, że to z powodów ekonomicznych.

...Czy aby tylko dlatego?..

Jean-François
/wg: „GW” z 21. VII.2000 r./

AREOLOGIA:

CO2 ZAMIAST H2O?

Według Nicka Hoffmana z La Trobe University (Melborne) – na Marsie nie ma ani kropli wody od co najmniej 3,5 mld lat! To „suchy lód” (zestalony dwutlenek węgla) może z powodzeniem „udawać” mokłą wodę...

– Trzeba ogromnej ilości wody, żeby z jej pomocą wyjaśnić powstanie kanionów szerokich na 200 km i głębokich na 300 m. A gdzie ta woda mogła się dziś podziać? – pyta Hoffman. – Moje wyjaśnienie jest dużo prostsze: z jednego litra suchego lodu powstaje 250 l. gazowego dwutlenku węgla.

Zegnajcie zatem mrzonki o żyznym – chociażby przed tysiącami – królestwie Aresa?

W tym kontekście najnowszy (i niewątpliwie najgorszy w karierze tego twórcy!) film Briana De Palmy wypada jeszcze bardziej „obciachowo”...

Jean-François

NIUSY

/wg: „GW” z 4.VIII.2000 r./

TRADYCJI, CHOĆ ZMODYFIKOWANEJ, STAŁO SIĘ ZADOŚĆ...

W to lato również odbyły się letnie towarzyskie imprezy GKF: u Joasi i Janusza P. oraz u Halny i Jasia P.P.

Nastąpiło tylko odwrócenie terminów: najpierw było ognisko na Chełmie, a potem garden party w Wejherowie.

Jednak – jak co roku – obie imprezy wypadły nader sympatycznie!

red.

DICK TRZYMA SIĘ MOCNO!

W „Polityce” z 15 lipca 2000 r. ukazał się dwuszpaltowy artykuł poświęcony twórczości Phillipa K. Dicka – napisany przez Artura Górskiego.

jpp

KONWENT KONTRA KONCERT

W środku Euroconu Ogan i PiPiDżej (obsługujący część publicystycznego programu polskiego) urwali się, wraz ze swymi piękniejszymi połowami, do Sopotu – na koncert Jacka Kaczmarskiego.

Krzywdą nikomu się nie stała, a warto było: „Kaczmar” zaprezentował swój nowy spektakl („Dwie Skaly”; pyta we wrześniu!) i fragmenty najnowszego, dopiero powstającego („Mimoходом”) oraz bisował (przez drugie 1,5 h!) wybrane utwory z programów wcześniejszych.

Dobra poezja, dobra muzyka, dobra energia...

red.

SZYMBORSKA O KOMIKSACH I SZYŁAKU

W weekendowej „Gazecie Świątecznej” ukazują się felietony Wisławy Szymborskiej. Ten z 29-30 lipca – nasza Noblistka poświęciła komiksowi.

Przyznała zresztą, że sztuka opowiadania obrazkami nigdy do niej nie przemawiała (poza wyjątkami: jak np. twórczość jej krajanina – Andrzeja Mleczki), a inspiracją do napisania tego felietonu była lektura krakowskiej [szkoda, że nie gdańskiej!] monografii Jerzego Szyłaka.

jpp

NA POHYBEL ASTROLOGOM!

Komitet Badań Przestrzeni Kosmicznej (zrzeszający ponad 40 państw) obradował w drugiej połowie lipca w Warszawie.

Więcej informacji na ten temat w Internecie – <http://www.cospar2000.pl>.

jpp

20 NUMERÓW „AQQ” W XX WIEKU!

Otrzymałem z Poznania [dziękuję, Witku!] dwudziesty numer komiksowego zlnu „AQQ”.

Jak zwykle znakomita lektura: komiksy, recenzje, reportaże, reklamy innych periodyków komiksowych (tym razem mniejsza objętość, za to zwiększony nakład!). A z gdańskich akcentów – wielki powrót Christy, recenzja książki Szyłaka „Komiks i okolice kina”, zapowiedź dwóch kolejnych publikacji tegoż, informacja o wystąpieniu Śmiałkowskiego podczas V Seminarium Filmowego na UG, przedruk kilku „komiksowych” niusów z „Informatora GKF”...

Ponadto zapowiedź wydania kolejnego numeru „AQQ” jeszcze w tym roku (jesienią!).

...A kiedy uda się nam zrewanżować czwartym numerem komiksowego „Karzełka”?

jpp

OZMA 2000 – WE FROMBORKU

Już od czterech lat, zawsze w sierpniu, organizowany jest Ogólnopolski Zlot Miłośników Astronomii.

W jubileuszowym roku 2000 jako miejsce imprezy wybrano Frombork. Na tej decyzji zaważyły nie tyle walory turystyczne tego (przepięknego zresztą!) miasta – co jego związki z osobą i dziełem Mikołaja Kopernika.

jpp

„NIE TYLKO O FANTASTYCE”

„Życie z Książkami” (czwartkowy dodatek do ogólnopolskiego dziennika „Życie”) zaczęło drukować nowy cykl recenzji Rafała Ziemkiewicza.

Pierwsza z nich ukazała się 24 sierpnia, a RAZ „wziął na warsztat” drugą powieść Jacka Dukaja („W kraju niewiernych”) – i w ogóle rozpisal się nieco o, oryginalnej rzeczywistości, twórczości tego autora...

W tej samej gazecie, na tej samej stronie, opublikowano też recenzję „Wysokiego zamku” Stanisława Lema (pióra Marka Oramusa) – z okazji wznowienia tej nietypowej autobiografii w ramach edycji „Dzieł zebranych” Mistrza.

jpp

ZACZĘTO NAS ZAUWAŻAĆ?

W „Gazecie Morskiej” (trójmiejsko-słupskim dodatku lokalnym do „GW”) z 26-27 sierpnia, w stałej rubryce „Nowe książki”, ukazała się recenzja „Ponurych rajów Janusza A. Zajdla” Leszka Będkowskiego („Anatomia Fantastyki” # 10).

Milo, że autor recenzji, Przemysław Gułda, jako wydawcę „AF” podał Gdański Klub Fantastyki (różnie dotąd z tym bywało w innych gazetach...).

jpp

DWA PÓŁGŁÓWKI – NIE ZSUMUJĄ SIĘ NA JEDNĄ GŁOWĘ!

Ten młody człowiek interesująco zmodyfikował moją doktrynę walki: gra nie tylko nie fair, lecz także nieskutecznie! Takimi mniej więcej słowami Euzebiusz skwitował (kilka lat temu, na łamach Oganowego jeszcze „Informatora”) sławetny sparring Gołoty z Bowe’em.

Pod koniec października możemy spodziewać się jeszcze większych „Jaj”: w Detroit odbędzie się pięściarski pojedynek Andrzeja Gołoty i Mike’a Tysona. Już w tej chwili typowane są pewnie zakłady, na duże pieniądze. Jednak my z Euzebiuszem – a także z Madejem, Marcinkiem, Pankracym i Bambaraszem – typujemy swój wynik...

...Tyson ugryzie Gołotę w ucho, a Gołota uderzy Tysona w genitalia!

jpp

Od Warszawy do Brukseli: relacja sędziego

Ostatnich kilka miesięcy było bardzo ważnych dla mojej „kariery” sędziego Magic: the Gathering. Ten okres rozpoczął się w kwietniu, gdy zacząłem jeździć po Polsce i sędziować turnieje eliminacyjne do Mistrzostw Polski, tzw. Regionals. Ta seria turniejów miała swoją kulminację 10 czerwca podczas III Mistrzostw Polski. Trójmiejskim graczom nie powiodło się i żaden nie trafił do finałów.

Tydzień później pojechałem do Kopenhagi. Odbывał się tam Grand Prix, turniej klasyfikacyjny do Pro Tour (turnieju „profesjonalistów”). Był to mój pierwszy kontakt z międzynarodowym turniejem i byłem pod wielkim wrażeniem organizacji takiego przedsięwzięcia. Turniej trwał 2 dni i brało w nim udział kilkuset graczy z całej Europy i USA. Poznałem wiele osób, w tym śmietankę europejskich sędziów.

W lipcu gościłem na dwóch konwentach w Bydgoszczy i Bytowie jako sędzia Magic’a. W Bydgoszczy sędziowałem turniej Poltour, w którym główną nagrodą była foliowana Serra Angel. Zainteresowanie było bardzo duże (16 drużyn 3-osobowych). W Bytowie byłem gościem na I edycji Gildia 2000. Tam odbyło się kilka turniejów, łącznie z Poltouriem. Z dumą mogę powiedzieć, że nasz klubowicz Paweł Cetnerowski był w zwycięskiej drużynie.

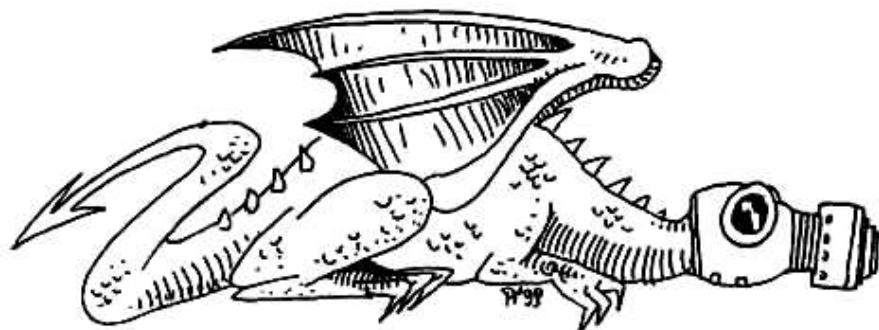
Ponieważ odrzucono moje zgłoszenie na sędziowanie na Mistrzostwach Europy, bardzo się zdziwiłem, gdy otrzymałem propozycję udziału w Mistrzostwach Świata w Brukseli. Jedynym dylematem było pokrycie się terminów Worlds i Euroconu, ale Michał kazał mi się pakować i jechać, a ja wiedziałem, że mogę powierzyć karcianki w jego kompetentne ręce.

Mistrzostwa Świata były prawdziwym wyzwaniem. Pięć dni sędziowania od 9 do 2 (rano). Do tego doszedł jeszcze egzamin sędziowski na 3 poziom. (Jest pięć poziomów sędziowskich, z czego 4 ma tylko dziesięć osób na świecie, a 5 jedna). Po całonocnej walce z egzaminatorami wyszedłem zwycięsko i w nagrodę otrzymałem jeszcze zaproszenie na Pro Tour Chicago w grudniu (koszta pokrywa Wizards of the Coast).

Jeśli dodać do tego, że zostałem mianowany koordynatorem turniejów na północną Polskę, to można śmiało rzec, że były to pracowite wakacje. Lecz one się jeszcze nie kończą. W połowie sierpnia czeka nas kolejny Poltour, a pod koniec września Prerelease Invasion, być może połączony z mini-konwentem.

Adam Cetnerowski

PS. Obszerne relacje i fotoreportaże z moich zagranicznych wyjazdów można znaleźć na stronie <http://www.gildia.pl>



POTRÓJNY SUKCES???

(CZYLI NIE DO KOŃCA OBIEKTYWNE SPRAWOZDANIE Z TRICITY 2000)

A jednak się udało: mimo licznych obaw (np. że GKF zbankrutuje po imprezie), wycofania się kilku ważnych sponsorów, zatrzęsienia pracy i nieprzespanych (jak się domyślam) nocy Szefa i Szeffowej – nic nie runęło, program się nie zawalił, a goście jakoś dotarli do Teatru Muzycznego i Hotelu Gdynia. W efekcie zmęczony, ale zadowolony Papier mógł powiedzieć podczas otwarcia konwentu: „Witam was, mam nadzieję, że się do końca nie rozczarujecie.”



ponad 800 osób, chociaż pewny był udział niecałych 500.

Jeśli chodzi o najciekawsze, moim zdaniem, punkty programu (o nich krótko – inaczej zapisałbym ze szwadzieścia stron), to na czoło wysuwają się zdecydowanie spotkania z gośćmi honorowymi, szczególnie z Kirem Bułyczowem. Ten ostatni mówił ciekawie m.in. o tym, jak został pisarzem i zaczął tworzyć fantastykę. Walter Jon Williams opowiadał o fandomie amerykańskim, natomiast nasz gwiazdor Sapek – tym razem tylko trochę podchmielony – jak zwykle zapewniał o swym niezwykle głębokim szacunku dla czytelników i wymiślał się od oceniania Michała Żebrowskiego jako wiedźmina w kręconym właśnie filmie. Dużym zainteresowaniem cieszyli się także sławni artyści: Michelangelo Miani, Wojciech Siudmak i Sławomir Wojtowicz. Ciekawe (i licznie odwiedzane) były też panele z udziałem gości zagranicznych, szczególnie – znanego wam chyba – tłumacza fantastyki polskiej Michaela Kandela i Terry’ego Bissona; podobały się również prelekcje Inge Heyer, m.in. o życiu i pracy w kosmosie.



Odbyły się również ważne spotkania fandomowe: Europejskie Stowarzyszenie Science Fiction wybrało na gospodarzy Euroconu '2002 Finów, a forum polskie ustaliło, że Polcon w

tym samym roku będzie organizować Kraków (wygrał kilkoma głosami z Elblągiem). Była też zmiana regulaminu przyznawania nagród im. J. Zajdla – za powieść będzie się uznawać co najmniej 100 stron znormalizowanego maszynopisu (dotąd – 150).

A skoro już o Zajdlach mowa, należy przejść do rzeczy ostatniej – rozmaitych wyróżnień. Nagrody Euroconu (przyznawane przez Europejskie Stowarzyszenie SF) otrzymali m.in.: Sławomir Wojtowicz – najlepszy artysta, „Nowa” – najlepszy wydawca, „Miesięcznik” SKF – najlepszy fanzin [gratulacje od redakcji „Informatora!"] oraz Anna Brzezińska – nagroda „na zachętę” dla debiutantów. Natomiast pani Jadwiga Zajdel (wiadomo, jaka nagroda) i EuGeniusz Dębski, wręczający w imieniu Asocjacji Polskich Pisarzy Fantastycznych Srebrne Globy, zgodnie wymienili dwa nazwiska: najlepsze opowiadanie – Antonina Liedtke „CyberJoly Drim”, najlepsza powieść – Marek Huberath „Gniazdo światów”. Oboje laureaci byli bardzo wzruszeni, przy czym nieobecny z powodów rodzinnych autor „Gniazda...” przekazywał podziękowania dla „wspaniałej publiczności” przez telefon komórkowy. Gratulacje dla wszystkich zwycięzców!

I to w zasadzie wszystko o Euroconie, należy jeszcze tylko podsumować: mimo przekładania paru punktów programu, zamieszania wynikającego z uzyskania dodatkowej sali, pewnego chaosu związanego z tłumaczeniami i tradycyjnych ekscesów Dudy – było naprawdę świetnie (choć oczywiście zawsze znajdują się – tfu, tfu! – malkontenci). Życzę SKF-owi (bez podtekstów, szczerze!), aby na swoim Polconie '2001 utrzymali wysoki poziom ostatnich imprez (to nie samochwalstwo, ale podsłuchana przypadkiem opinia Eli Gepfert), a nawet podnieśli go i rzucili gdańszczan na kolana swoją inwencją... Do zobaczenia w Katowicach!

Marcin Szklarski



Co jest grane? (13)

(zapiski „staruchy” z sesji słupskiego Klubu Fantastyki STRONG)

Mistrz Zajac, mimo licznych obowiązków euroconowych – współorganizacja konwentu, rzecznikowo-prasostwo, spektakle Bractwa Rycerskiego – zrealizował rozbudzone w nas przed pół rokiem w Jastrzębiej Górze nadzieje na terenowego erpega w systemie ALIENS. Ekipa słupskiego Stronga reprezentowana była w tym larpie przez czwórkę uczestników Euroconu: trójka ochoczo wzięła na siebie role aliensów, tzw. Xenomorphów zamieszkujących dzikie chaszczce odległej od Ziemi planety, jeden zaś (nie chwalcący się – niżej podpisana) stanął po drugiej stronie barykady i jako dzielny żołnierz oddziałów marines ruszył wraz z innymi zabijakami na polnyhel bestiom.

Ekipa marines podniecenie czekającą przygodą czuje już w chwili odprawy w foyer gdyńskiego teatru. Starając się nadać swoim twarzom nieodgadniony wyraz twardzieli, taksujemy spojrzeniami partnerów-graczy, szacując na oko ich „wartość bojową”. Te pierwsze oceny skonfrontujemy z rzeczywistością później, po przygodzie. Ubrani jesteśmy różnie: część w strojach w stylu military, inni bardziej po cywilnemu, za to nadrabiają wrażenie maskującą charakteryzacją. Ja – oliwkowe spodnie, kamizelka z kieszeniami, czerwona przepaska na czole – przypominam jedną z bohaterek „Obcego2” (w każdym razie starałam się ją przypominać). Zajac, który dopiero co wrócił z terenów, gdzie będzie się rozgrywała przygoda i gdzie rozlokowywał aliensów, przedstawia nam kadrę – kapitana i sierżanta. Jest też wśród nas kamerzysta (członek oddziału, żaden tam „niezależny obserwator”) – będzie rejestrował przebieg wydarzeń. Parę słów tytułem wstępu do fabuły i krótkie omówienie reguł gry, szczególnie zasad bezpieczeństwa, potem szybka jazda samochodami ku miejscu przeznaczenia. Właściwą akcją poprzedza intensywna, choć niedługa musztra, mająca na celu bardziej wywołanie zmęczenia (głębszy oddech natlenia mózg i przyspiesza puls) aniżeli wyszkolenie w kwestii wojskowych komend. Jeszcze tylko wydanie broni (niestety, giwer na kulki z farbą mniej niż nas!) i rozdzielenie nader skromnego zasobu latarek. Cztery, trzy, dwa, jeden... start!

Nasz statek został zestrzelony tuż przed lądowaniem na planecie, na którą przybyliśmy z misją likwidacji islamskich ekstremistów usiłujących tu przejąć władzę polityczną. Z katastrofy jakimś cudem udaje się wyjść części oddziału marines (to my!). Na szczęście działa łączność, tyle że – choć kierowani wskazówkami z pobliskiej bazy wojskowej – musimy przedrzeć się przez las, do miejsca, gdzie będzie wystarczająco bezpiecznie, aby nas ewakuowano, czyli do wieży wierzącej górę, u podnóża której się znajdujemy.

Noc smolista, że oko wykol. Nasze lataрки, nerwowo migające między drzewami, paradoksalnie jeszcze potęgują wrażenie ciemności. Rozproszeni w promieniu 150 metrów, zwalujemy się i grupujemy, by ustalić ilu ocalało. Zanim na dobre odnajdujemy się w tych dantejskich ciemnościach, niemal równocześnie z histerycznym ostrzeżeniem wykrzykanym przez radiotelefon, stajemy się celem ostrzału z powietrza wrażliwych islamczyków. Pociski wybuchają dookoła nas z zaskakującą częstotliwością i gęstością. Jako gracz wiem, że to tylko nieszkodliwe fajerwerki, ale jako marine Arquette zaczynam czuć, że nie jest dobrze (...a zresztą, czy to wiadomo? – bo to raz niewinna petardka odpalona w noc sylwestrową zrobiła komuś kuku?!). Przypadam płasko do ziemi dysząc i czując jak całe moje ciało robi się lepkie od potu. Słyszę z zarośli sapiące przekleństwa innych współtowarzyszy (aha, ich też wzięło). Kapitan rzuca rozkaz, żeby skupić się przy nim. Czolgamy się przez poszycie leśne. Sierżant wymyśla nam od patalachów i popędza. Kanonada ustaje. Komunikat w radiotelefonie informuje, że zagrożenie minęło. Formujemy szyk i ustalamy marszrutę zgodnie z wytycznymi z bazy. Droga pnie się ciągle

pod górę, momentami dość stromo, pomiędzy typowymi dla morenowego krajobrazu falistymi wzniesieniami. Po chwili marszu w pulsującej napięciem i czujnością ciszy dobiegają nas, najpierw odległe i ciche, potem nasilające się odgłosy; wycie i jakby walenie kolkami o pnie drzew. Oho – myśli Bożena-gracz – przyjaciele strongowcy ruszają do akcji. O, *pii!*... – tłucze się pod czaszką Arquette – mamy prawdziwy problem...



Podczas musztry kapitan i sierżant wspominali, że planetę zamieszkują jakieś monstra-Xynomorphy. Dodawaliśmy sobie wówczas animuszu i podkreślali atmosferę żartując, że jak któregoś takiego dziabnie (dziabag jeden!), to... prze-*pii!*-pane. Wprawdzie szeregową Aquette, jako służba medyczna w tej ekspedycji, posiada fiolek z antidotum na owe dziabania, ale fiolek jest tylko siedem, a nas niemal dwukrotnie więcej!

Las ogromnieje i gęstnieje w naszych oczach z chwili na chwilę. Omiatające gąszcz cienkie struny latarkowych świateł nagle wyluskują biegnącą ku nam sylwetkę. „Dziabag na lewo!” – rozlega się wrzask i sucha seria z paintów tnie leśną ciszę. Nieuzbrojona część oddziału zamienia się w dywanik. Sierżant woła, żeby oszczędzać amunicję. Xynomorph znika, ale złowieszcze ryki zdają się wokół nas narastać. Podnosimy się i ruszamy dalej. Idący przodem patrol, kapral z dwójką zwiadowców, po paru minutach zawraca meldując, że przed nami zaporę. Rzeczywiście dostrzegamy barykadę – zwalone olbrzymie drzewo. Głupiejemy! Wciskamy ciała w pokrzywy, kolczaste patyki, śmierdzące zbutwieniem kopczyki i maziste dołki (wprost niesłychane, jak wyostrzone

mamy w tej chwili wszystkie zmysły!). Kapitan daje rozkaz oględzin przeszkody. Jakoś nikt nie wyrwa się do zadania. Dopiero wiacha epitetów (o tym, co mamy w gaciach, i tak dalej) podnosi morale paru z nas. Cała się trzęsę – Arquette się trzęsie ze strachu, Bożena-gracz za wszelką cenę pragnie po prostu nie dać ciała i przejść tę przygodę do końca. Zanim barykada zostaje sprawdzona, otaczają nas sylwetki aliensów. „Do rowu!” – pada komenda”. A po chwili: „Z rowu!”. Bogowie, dlaczego mam wyskakiwać z tego bezpiecznego, pokrzywiastego rowu na poboczu drogi? Aha, Xynomorphy *pii!*-pane biorą nas z obu flank! Ich pleksyglasowe maski rzucają refleksy odbitych świateł naszych latarek. Kątem oka rejestruję, że leżącym obok mnie towarzyszom sphywa po policzkach i nosie pot (chustka na moim czole okazuje się nie tylko bajerem!).

Rozrywam pakietek z pierwszą strzykawką, modląc się, żeby nie mnie okazała się potrzebna. Parę metrów przed nami słyszymy wycie aliena i wrzask jednego z naszych: „Dziabnął mnie, *pii!* Dziabnął!”. Równocześnie koledzy ostrzeliwiają tych szarżujących z prawej i lewej. Po jakimś czasie, wypełnionym strzelaniną i *pii!*-paniem, natarcie zostaje odparte. Oficer woła

medyka. Wyskakuję jak torpeda z gotową strzykawką. Przypadam do skulonego na ziemi kształtu, nad którym kłęczy oficer. Wbijam zastrzyk w bark rannego. „Co jest, *pii!* – drze się oficer – Xynomorpha ratujesz?!” Dopiero teraz zauważam leżącego obok na wznak marine. Zdzierając folię z drugiej strzykawki, mamroczę pod adresem dowódcy „To co mi tu, do *pii!* nędzy pięć robisz nad alienem!” i pełzną do naszego. Lekarstwo przywraca mu energię życiową. Xynomorphowi niestety też, bo warczy. Trzeba go dobić kulkami. Jestem wściekła na siebie, że zmarnowałam zastrzyk i naraziłam oddział na niepotrzebną utratę paru sztuk amunicji. To poczucie winy zniknie we mnie dopiero za godzinę, u stóp wieży – w chwili własnej śmierci, przynięcioną ciężkim ciałem aliena, dokonam iniekcji ostatnią strzykawką, ratując życie rannemu towarzyszowi. Ale to za godzinę. Teraz ręce mi drżą, kiedy przygotowuję kolejne dwa pakiety leku, by później nie tracić czasu na ich rozpieczętowanie. Nie pora jednak na osobiste refleksje i pensjonarskie sentymenty. Trzeba ruszać dalej. Pokonać ten cholerny las pełen niebezpiecznych, ryczących stworów wylaniających się zniemacka zza krzaków...

To był dopiero początek przygody. Nie będę Wam, drodzy Czytelnicy, pisać dalej o kolejnych potyczkach, natarciach, kontratakach, jękach rannych i rżeniu likwidowanych dziabagów; definiować szczegółowo tych wszystkich odmian zasobów adrenaliny, które wydzielały nasze organizmy. To trzeba po prostu przeżyć! Podejrzewam, że słowa nie są w stanie zobrazować doznań, które były naszym udziałem. A wydarzenia trudno było nam uporządkować nawet w tę samą noc, kiedy wróciliśmy do akademika WSM i przekrzykując się nawzajem wspominaliśmy wspólnie przeżyta przygodę. Jako tako usystematyzowaliśmy je dopiero około piętej nad ranem, oglądając film – fatalnej zresztą jakości, bo kamera widziała dokładnie to co my, czyli jakiś świetlny punkt przenoszący się z jednej twarzy na drugą, fragmenty drogi i wyskakujące z ciemności błyszczące maski aliensów. Ale mikrofon zamontowany w kamerze działał bez zarzutu; dialogi przez niego zarejestrowane były siarczyste, konkretne i nader obfite w... *pii!*-panie.

Jedno Wam powiem: startowaliśmy do przygody jako grupa nieznanym sobie kompletnie ludzi, zakończyliśmy ją jako paczka przyjaciół, którzy beczkę soli ze sobą zjedli.

W akademiku o drugiej w nocy Mistrz Zając (od dziś dla mnie **Mistrz Adrenalina**) leniwie sącząc piwko, przyglądał się nam – rozpalonym, rozgestykulowanym, roześmianym od ucha do ucha, rozpalanym niczym gromadka dzieciaków – z niemal ojcowską czułością i dumą. Byliśmy oto jego dziełem, jego „tworzywem”, które ulepił na swój mistrzowski sposób, dając nam przy tym radość i niesamowitą satysfakcję odkrycia w sobie i wywołania potencjału, który drzemie w każdym z nas. Nie potencjału agresji i wojowniczych popędów żądzy krwi, a hartu ducha, poczucia wspólnoty i odpowiedzialności za innych, woli przetrwania i ambicji wykazania się zdolnością do bohaterских czynów. Bo każdy z nas czuł się bohaterem tej nocy. W codziennej szarzyźnie zapominamy, że jako dzieci marzyliśmy o byciu bohaterami. A przecież to stłumione, schowane w najgłębszych zakamarkach naszego „ja” marzenie okazuje się nadal żywe! Może warto od czasu do czasu je sobie przypomnieć i wyciągnąć na światło dzienne? Może pozwoli to nam wyzbyć się lęków przed banalnymi potworkami czyhającymi na każdym kroku tej schizofrenicznej rzeczywistości, w jakiej przyszło nam żyć – tu i teraz.

XX (XXI?) wiek nie jest rzeczywistością łatwą. Uwarunkowania zewnętrzne czynią nas pozbawionymi odwagi i siły przebicia przeciętniakami. Albo przeciwnie – kierują naszą energię w nieodobre tory, na których poplącą egoizm i niezdrowa rywalizacja. Gdzie w tym wszystkim człowiek? Człowiek jako istota piękna i dumna, zdolna do pięknych i dumnych czynów?

Sceptycy w tym momencie stwierdzą zapewne, że egzaltuję się jakąś szczenięcą zabawą, nadużywam patetycznych słów, dobudowuję filozofię do niewiele znaczących wygłupów. A niech tam... Ich to problem, nie nasz – szturmowej grupy oddziału specjalnego marines Euroconu 2000!

Do zobaczenia, Mat! Do zobaczenia, Krzysiu! Cześć, sierzancie, kapitanie! Czołem, chłopaki! Byliście wszyscy wspaniali! Do następnego konwentu! Odmeldowuję się.

(*cdn.*)

Ignis - szeregową Aquette

JAK I KOGO WALIĆ W MORDE

czyli savoir-vivre według Sapkowskiego

Walenie w mordę to zwyczaj znany ludzkości od zarania. Wcześniejszy jest nawet od narzędzi – jakkolwiek zastosowanie kawałka kości (patrz: „2001: Odyseja kosmiczna”) niewątpliwie zwiększa skuteczność tejże czynności, to zasadniczo wystarczy w tym celu jedynie to, czym obdarowała nas biologia/Pan Bóg (niepotrzebne skreślić): gołe pięści. Pod tym względem nawet australopitecus nam nie ustępował. I tak rzecz trwa od ok. dwóch milionów lat – ludzie wymyślają coraz to nowe sposoby walenia w mordę, od kija czy maczugi począwszy, na bombie wodorowej skończywszy. Rzeczą godną zauważenia jest rosnąca letalność poszczególnych narzędzi w stosunku do „waleniawmordębiorców” – znacznie trudniej jest zrobić komuś krzywdę kijem niż atomówką (przynajmniej jeśli chodzi o siłę rażenia – bo danie komuś po głowie trzymaną w rękę główką byłoby nieporęczne i mniej efektywne od starego, dobrego kostura).

Obecne czasy nie stanowią pod względem natężenia zjawiska walenia w mordę żadnego wyjątku. Znacomitym przykładem jest sport – to wszak świetny sposób wyładowania się, także pięściarsko. Oczywiście każdemu przyszedł właśnie do głowy boks – ale ma tu znaczenie także np. rugby czy futbol amerykański, no i oczywiście hokej na lodzie. Powyżsi sportowcy są jeszcze w niezłej sytuacji, gdyż mają kaski; najgorzej mają piłkarze nożni. Tym też przydałyby się jakieś helmy – zwłaszcza kiedy grają z reprezentacją Anglii (ta prezentuje więcej niż standardowe łokcie – np. w ostatnim meczu Polska-Anglia David Beckham, minutę przed dostaniem czerwonej kartki za brutalny faul, pięknym sierpowym powalił na boisko któregoś z Polaków). No i jeszcze kibole bijący się między sobą, policjanci bijący się z kibolami – a mamy cały obraz „sportowej” rywalizacji.

Polska nie stanowi żadnego wyjątku – także i u nas bicie w mordę jest popularnym środkiem rozwiązywania sporów. I to nie tylko wśród tzw. marginesu (patrz: Andrzej Gołota), ale i wśród „wierchuszki” – np. ostatnio pobiły się dwie panie z Urzędu Gminy Warszawa-Centrum. Także na naszym fantastycznym parnasie nie brakuje ostatnio takich przykładów – w redakcji „NF” Oramus przyłożył kuflem, jeśli dobrze pamiętam, Lewandowskiemu (nota bene słyszałem, dlaczego – Oramus jest u mnie usprawiedliwiony, bo KTLowi się należało). Do grona postępowej ludzkości dołączył zaś ostatnio AS polskiej fantastyki – Andrzej Sapkowski.

Koniec eufemizmów! Sapek ma u mnie krechę jak stąd do Katowic! Grabił sobie w fandumie od dawna – ponoć już od kilku lat na większości spotkań konwentowych pojawiał się podchmielony (znam z relacji, bo nie byłem). Potem przyszedł Nordcon'98 w Nadolu i słynne już spotkanie o 18-tej. Nie pomogli wolontariusze, którzy mieli chronić ASa przed alkoholem – stawiał się schyłny jak świnia, obraził na stojącego kilka metrów dalej psa, mówiąc, że w jego towarzystwie nie zacznie, po czym, pociągając z butelki, wybełkotał parę zdań. Spotkanie skończyło się o 18:10, a Sapek już więcej na Nordcon nie przyjechał i nie przyjedzie.

Na tegoroczny Eurocon, choć organizowany przez mający z nim złe doświadczenia GKF, Sapkowski nie mógł nie zostać zaproszony – przecież to wciąż najjaśniejsza gwiazda dzisiejszej polskiej fantastyki, kandydat do Nagrody Zajdla zresztą. Naiwni łudzili się jeszcze jego poprawą, bo na Polconie w Warszawie spotkanie z nim udało się wyśmienicie. Złudzenia prysły w Gdyni – jako że spotkanie wypadło o 20-tej, Sapek przyszedł na nie podchmielony (dobrze zrobili warszawiacy, ustawiając jego spotkanie w południe!). Przez cały czas prezentował bardzo, ale to bardzo specyficzne poczucie humoru (nie dość, że bawiące tylko jego samego, to jeszcze wulgarne), odpowiadał na pytania arogancko, a szczyt chamstwa zademonstrował po pytaniu o ekranizację przygód Wiedźmina. Jakiś fan jego twórczości zapytał, czy ma to w ogóle sens, skoro i tak nie odda „piękna dzieła” (czy jakoś podobnie). Na to Sapek



wyrzeszczał, że to jego prawo sprzedać prawa autorskie innemu artyście, zakończył zaś stwierdzeniem, że „takich ludzi trzeba walić w mordę!!!”. Nota bene zgadzam się (w kwestii praw autorskich) z Sapkiem całkowicie, ale chamskie wrzeszczenie komuś w odpowiedzi na grzeczne pytanie, obrażanie go i grożenie – jest czymś godnym lumpa spod budki z piwem, a nie pisarza, i to najbardziej poczytnego z polskich pisarzy fantastycznych lat 90-tych. Prowadzący przytomnie zakończył w tym momencie (po 45 minutach) spotkanie, a publiczność wychodziła z sali głęboko zniesmaczona.

Zdegustowany i wściekły nie przyszedłem już na jego prelekcję następnego dnia, wpadłem tylko na moment – aby przekonać się, że sala znów jest pełna. Tylko tak dobry pisarz może mieć tak ogromny kredyt zaufania... Grzesiek Szczepaniak, który to drugie spotkanie prowadził, powiedział mi później, że wypadło nieźle, chociaż Sapek rzucał obficie „kurwami”, „dupami” i „odpierdol się”. Ja bym to jednak sformułował inaczej: co prawda wypadło nieźle, ale Sapek rzucał obficie „kurwami”, „dupami” i „odpierdol się”. Dla mnie jest to poniżej elementarnego poziomu przyzwoitości. O *savoir-vivre* nasz AS już zdecydowanie zapomniał!

Dlatego – z powodu jego chamstwa i arogancji – na żadne spotkanie autorskie Andrzeja Sapkowskiego już się nie wybiorę. Mam też cichą nadzieję, że nie zostanie on zaproszony na Polcon w Katowicach – nawiasem mówiąc, wpłynęłoby to zapewne pozytywnie na wyniki sprzedaży jego książek. Na szczęście – znakomitych pisarzy nam nie brakuje: na skalę Polconową wystarczą Rafał A. Ziemkiewicz i (może wreszcie się uda!) Marek S. Huberath. Z zagranicznych np. Borys Strugacki (co na to ŚKF?) – i już wystarczy gości honorowych.

Żeby było to jasne: czuję duży respekt przed ogromną wiedzą Sapkowskiego, uważam, że jego książki są rewelacyjne, godne światowej klasyki. W wywiadach, które czytałem wypowiada się ciekawie i mądrze (tak!). Tym bardziej boli i rozczarowuje to, co robi na konwentach. Przykro mi – ale schlanego i aroganckiego osobnika nie życzę sobie na nich oglądać (no, może poza Dudą, który stał się już elementem krajobrazu...), nawet jeśli ten schlany i arogancki osobnik nazywa się Andrzej Sapkowski!

Sapek często powtarza, że lubi swoich czytelników – ale za czczą deklaracją muszą pójść czyny. Niech więc Sapek lepiej nie przyjeżdża na konwenty, skoro nie potrafi być inny niż chamskil! Nawet jemu kredyt zaufania kiedyś się skończy – a wtedy już nikt nie będzie go chciał gdziekolwiek zaprosić. I zaprawdę powiadam wam: ten koniec jest już bliski...

Michał Szklarski

P.S. z zupełnie innej beczki: 8 września na ekrany kin wchodzi film anime „Księżniczka Mononoke”. Tak się składa, że miałem już przyjemność go widzieć – po japońsku, z angielskimi napisami. Nie napiszę teraz recenzji, bo przyjemność ta miała miejsce dość dawno temu – ale zaręczam, że jest to znakomite fantasy. W połączeniu z estetyką mangową – palce lizać, tym bardziej, że od strony graficznej „Mononoke” jest zrobiona rewelacyjnie. W klimacie podobne do „Tkacza Iluzji” Ewy Białołęckiej: co prawda nie ma smoków, ale jest leśna przyroda. Razem – pozycja obowiązkowa! Recenzja w następnym numerze „Informatora”.

Przeprosiny...

...dla Eli Gepfert i Grzeska Szczepaniaka. Chodzi o dwa zdania, rzucone na Euroconie – nie zwracajcie uwagi, gdy młodziak powie czasem coś głupiego!... (Eli, jeśli nie pamiętasz, to tym lepiej!)

Michał Szklarski

Od redakcji: poniższy tekst przysłał do nas RAZ przed Euroconem – do wykorzystania w materiałach konwentu. Z uwagi na ograniczenia objętościowe Informatora TRICITY, wykorzystaliśmy tzw. „wersję suchą”. Sądzymy jednak, że „wersja sugerowana” ze wszech miar godna jest publikacji – co niniejszym czynimy.

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

zyciorys na Eurocon (wersja sugerowana)

Ilekoć zasiadam do pisania zyciorysu, przypominają mi się opowieści mojego Taty, świeć Panie na jego duszę. Za czasów Ziutka Słoneczko był on pilotem w eskadrze bombowej, gdzie zyciorysy pisało się bezustannie, omalże co parę dni – a to na życzenie tzw. Informacji, której pracownicy czujnie szukali jakichkolwiek różnic między kolejnymi wersjami, aby tą metodą wytropić wroga klasowego. Ponieważ mój dziadek był endekiem i sanacyjnym sołtysiem, Tato przezornie przygotował odpowiednio poprawioną wersję swego zyciorysu, a potem wkuł ją na pamięć (jeszcze w czasach, kiedy mi to opowiadał, potrafił wyrecytować co do przecinka). Tak zresztą robili wszyscy co inteligentniejsi ludzie w eskadrze. Trudno uwierzyć, ale smutni z Informacji kupowali to, swe działania koncentrując na ćwokach, co autentycznie wierząc w komunizm i swe kryształowe, chłopskie bądź robotnicze, pochodzenie nauki zaniedbali – i zdarzało im się za en-tym razem jakiś szczegół pominąć lub poniewczasie sobie przypomnieć.

Nawiasem mówiąc, Tato i tak nie polatał długo. Jedną z załóg pewnego dnia postanowiła sprawdzić, czy samolotem Pe-7 da się dolecieć do Bornholmu. Dało się. Na dodatek, gdy posłano drugą załogę, żeby sprowadziła samolot z powrotem, dołączyła ona do pierwszej – co smutnych wprawiło w taką irytację, że kontrolnie posłali dowódcę do łagru i przystąpili do czyszczenia eskadry z elementów niepewnych. Ponieważ mój Tato, jak ktoś doniósł, nosił pod mundurem krzyżyk, przeniesiono go do piechoty, w przekonaniu (ślusznym zresztą), że pieszo na Bornholm im nie ucieknie. Koniec końców okazało się to dowodem, że Pan Bóg dba o swoich ludzi – wkrótce potem jego koledzy przesiadli się na pierwsze otrzymane od Wielkiego Brata odrzutowce i użyźnili w komplecie pola wokół Dębłina.

O tym jednak były kierowca bombowca dowiedział się dopiero po latach; początkowo koniec marzeń o lataniu szalenie go przygnębił i sfrustrował. Z tej frustracji poszedł do szkoły morskiej, gdzie wyuczył się budownictwa wodnego, zbudował zaporę we Włocławku i parę mniejszych rzecznych artefaktów, a w końcu, nie usatysfakcjonowany najwyraźniej tego rodzaju produkcją, ożenił się i spłodził czworo dzieci. Nie muszę dodawać, że najlepiej udało mu się za trzecim zorem – to właśnie ja, dziedzic większości jego talentów, niestety, poza jednym: tym do zyciorysów. Napisałem ich już w życiu kilkanaście – oczywiście, w bez porównania mniej stresujących okolicznościach – i każdy wychodzi trochę inaczej. Ten też będzie się nieco różnił. Dobrze, że panowie z niedysiejszej Informacji zajmują się dziś biznesem i pożeraniem kawioru oraz szampana, bo mógłbym mieć kłopoty...

No dobrze, i tak się od tego nie wywinę: 13.09.1964., Piaseczno k. Warszawy, w niedzielę, o szóstej po południu, 3 kilo 700 gram – to szczegóły dotyczące moich urodzin. Po mnie przyszedł wprawdzie jeszcze na świat kolejny model małego Ziemkiewicza, ale innej zupełnie płci, na dodatek przestawienie się na ten asortyment zajęło rodzicom całych osiem lat, tak że właściwie, można powiedzieć, kształtowałem się jako najmłodszy z trzech braci. Oszczędzę wam rozwodzenia się o tym, jak to jest mieć nad głową dwóch starszych, przemądrzałych i niestety lepiej rozrośniętych klientów. Nie było innej możliwości obrony, niż rozwijanie swego potencjału intelektualnego.

Podstawówka, liceum, w końcu wydział polonistyki UW – tu nie działo się nic ciekawego.

Z przykrością muszę się przyznać, że w okresie mojej bujnej młodości nie zrobiłem prawie nic, z czego mógłbym być później dumny. Założyłem wprawdzie jeszcze w podstawówce organizację, mającą na celu obalenie ustroju siłą, ale przeczornie tak zadbałem o jej tajność, że nawet koleżdy, których do Organizacji zapisałem, nic o tym nie wiedzieli. Z konkretnych działań wymierzonych w ustrój Organizacja poszczycić się mogła tylko wykonaniem antypaństwowego napisu w najciemniejszym kącie szkoły podstawowej nr 212 w Warszawie. Dla większej tajności, napis został umieszczony w tak odлюдnym miejscu, że być jest tam jeszcze do dziś. Z wiekoporną tą akcją wiązało się jednak tyle stresu i bezsenności, że na następną się już nie zdobyłem – tym bardziej, że wkrótce potem tajne archiwa Organizacji wpadły podczas sprzątania w ręce mojego Taty, który skutecznie namówił mnie, abym zamiast konspirowaniem zajął się na razie nauką. Zająłem się nią tak intensywnie, że zanim skończyłem, konspirować już nie było po co.

Wybrałem studia polonistyczne głównie dlatego, że już wiele lat wcześniej wymarzyłem sobie zostać pisarzem, a z jakiegoś powodu większość kandydatów do tego odczuwało polonistykę za kierunek w pisaniu pomocny (co akurat jest zupełną nieprawdą). Zresztą nie czekałem z pisaniem aż do studiów. O ile mnie pamięć nie myli, pierwsze dzieło prozatorskie – western – pisać zacząłem już w II klasie podstawówki. Ale to nie było to. Dopiero zetknięcie z *science fiction* wprawiło moje ego w stan długotrwałego, nigdy chyba tak do końca nie wygasłego dygotu. Leciął wtedy w telewizji serial "Kosmos 1999", w ilustrowanym tygodniku "Perspektywy" oprócz szokujących na owe czasy aktów kobiecych, często pojawiały się zdjęcia startujących rakiet i artykuły o badaniach kosmicznych; możecie nie wierzyć, ale wertując nowe numery najpierw szukałem tych drugich. Poza tym w nieskończoność czytałem parę dostępnych książek SF oraz "Na progu kosmosu" Bogdana Arcta, reportaże o pierwszych lotach kosmicznych. W książce o chemii znalazłem przepis sporządzenia z gipsu modelu powierzchni księżycowej. Powierzchnię ową zapyliłem poszarzoną mąką ziemniaczaną, zainstalowałem na niej własnoręcznie sklejony model statku kosmicznego oraz dwóch małych kosmonautów, wyhandlowanych za bodaj sześciu konnych żołnierzyków – i godzinami wgapiłem się w swoje dzieło niczym sroka w gnat.

Po przeprowadzce i zmianie szkoły udało mi się trafić do klasy, w której było jeszcze dwóch gości o podobnych zainteresowaniach. Zaczęliśmy tworzyć na potęgę i wymieniać się twórczością. Powstała wtedy moja pierwsza powieść SF (czyli sojuz-fiction, jak wykaligrafował autor na okładce), pod charakterystycznym tytułem XB-1, a potem zeszyt z opowiadaniem (każdy z nas miał taki), który pozostał mi do dziś, ale na pewno nikomu go nie pokażę. W liceum dobrał się jeszcze jeden świr, i jeszcze jeden, a z czasem wszyscy trafiliśmy do klubu fantastyki SFAN, pokupowaliśmy sobie maszyny do pisania i założyliśmy grupę autorską TRUST.

Grupa autorska TRUST była swego rodzaju pisarską szkółką. Nie miała zamiaru rewolucjonizować SF. Przeciwnie: TRUST był przedsięwzięciem reakcyjnym. W ówczesnej produkcji masowej – serialu wydawnictwa KAW, miesięczniku "Fantastyka" – stawiano uparcie na fantastykę nieortodoksyjną, uduchowioną, eksperymentalną i, cokolwiek by to miało znaczyć, "o człowieku". My zaś mieliśmy ochotę, wręcz przeciwnie, pisać to, czego nam na ówczesnym rynku najbardziej jako czytelnikom brakowało. Czyli teksty "amerykańskie" w stylu, sprawne, rzemieślnicze, z fajnymi pomysłami, sympatycznym bohaterem, fabułą, no – sami wiecie. Takie jak "Skalny nurek" Harrisona, jak "Tunel pod światłem" Pohla, jak – to już był mój osobisty Mistrz – "451^o Fahrenheita" Bradbury'ego. Wierzyliśmy, może cokolwiek naiwnie, że talent tu temu niezbędny każdy z nas posiada i pozostaje tylko kwestia odpowiednich ćwiczeń, którym przeto oddawaliśmy się bardzo zapamiętale.

Owa reakcyjność TRUST-u bardzo psuła krew Maciejowi Parowskiemu, kierującemu działem polskim założonej dwa lata później "Fantastyki". Jako wyznawca głównonurtowego paradygmatu literatury uważał on, że młode pokolenia muszą tworzyć nowe poetyki i estetyki,

przełamywać schematy, obalać kanony – i palić się nam patronować oraz udostępniać łamy, pod warunkiem, że będziemy na nich kontestować standardy SF i uduchowiać. Domagał się od TRUST-u programowych manifestów w duchu awangard, usiłował nas wszystkich razem i każdego z osobna wychować, miał dość siły perswazji, by sporo na autorach wymusić – okupował wszak najlepsze, a bodaj jedyne liczące się miejsce do druku. Było z tego powodu trochę łamania charakterów – żeby publikować, trzeba było iść na ustępstwa; w owych czasach życie w ogóle polegało na kompromisach. Ale generalnie wyszliśmy z tego, jako autorzy, bez szwanku. Sprawa, sądzę, że nie tylko dla mnie, była zawsze jasna – żeby wydrukować tekst w "Fantastyce", trzeba było uzyskać zgodę Parowskiego, tak, jak żeby dostać paszport, trzeba było zdobyć zgodę milicji. Parowski był naszym cenzorem i przeciwnikiem do ogrania, nie był natomiast naszym mistrzem ani duchowym przewodnikiem, choć bardzo chciał. Doświadczenie grupowe zanadto wzmocniło nasze pisarskie świadomości, byśmy mieli nagle ulec człowiekowi, który nie miał wśród fanów SF żadnego miaru ani aury; debiutanci, którzy trafiali wprost w jego ręce nie mając tyle przekonania co do własnej słuszności, pozwalali mu się lepić łatwiej. To pewnie jedna z przyczyn konfliktu, jaki dość szybko wybuchł między Parowskim a środowiskiem TRUST-u, a później Klubu Twórców, konfliktu, który przybrał – nie z naszej winy – tak przykre formy, że więcej nie chce mi się tu o nim pisać.

TRUST, jeśli rezerwować tę nazwę tylko dla założycieli grupy, naturalną kolejną rzeczą rozszedł się w końcu, każdy w swoją stronę – ten do *social fiction*, ten do *fantasy*, ów do jarania marihuany. Wokół grupy skupiali się jednak kolejni autorzy, zabiegaliśmy o to zresztą, staraliśmy się nawiązywać kontakty jak najszerzej. Z czasem z tych mniej i bardziej luźnych kontaktów narodził się Klub Twórców, początkowo jako sekcja Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, później jako organizacja samodzielna, tułająca się tu i tam, organizująca warsztaty (trustowe korzenie zobowiązywały!) i wydająca "Fantoma". Istnieje nieformalnie do dziś.

Pozwólcie, że naszkicowawszy tak pobieżnie to, wrócę do swoich losów. Jak większość TRUSTowców, debiutowałem w roku 1982 w łódzkim tygodniku "Odgłosy" i tam drukowałem swoje pierwsze opowiadania. Potem był wygrany konkurs, publikacje w "Młodym Techniku", "Problemach", kilkakrotnie w "Fantastyce" (za każdym razem z późniejszymi awanturami o zmiany, które Parowski zwykł wprowadzać nie pytając autora o zdanie), pierwsza książka, na druk której czekałem prawie cztery lata, druga, która po latach oczekiwania w końcu w ogóle się nie ukazała. Dostałem nagrodę "Fantastyki" za najlepsze opowiadanie roku 1984, dwa lata później dokooptowano mnie do składu redakcji. W 1987 r. na warszawskim "Polconie" moje opowiadanie weszło do pierwszej trójki w plebiscycie, *ex aequo* z Oramusem, ustępując ówczesnemu debiutantowi – Sapkowskiemu. Nie były to sukcesy na miarę oczekiwań i przynajmniej, że uczucie frustracji nie było mi obce.

Potem rok przerwy w życiu; postanowiłem jeszcze wrócić do "Fantastyki", ale już zaczynały wiać inne wiatry. Postanowiłem z kilkoma kolegami, skoro już stawało się to możliwe, spełnić nasze odwieczne marzenie i założyć pismo. Tak powstał "Feniks". Nie mieliśmy dużej wiedzy o prowadzeniu takiego przedsięwzięcia (żadnej, prawdę mówiąc), nie wszystko poszło tak, jak być miało (nic, żeby nie skłamać), ale pismo jakoś przetrwało i istnieje dotąd. Byłem jego redaktorem naczelnym od pierwszego numeru w połowie roku 1990 do początków 1993.

W czasach PRL, nie sądząc, jak zresztą nikt nie sądził, że socjalizm szlag trafi jeszcze za mojego życia, miałem taki plan, by żyć z fantastyki – jako redaktor i literat. Teraz nagle otworzyły się nowe możliwości. Postanowiłem zostać dziennikarzem; zacząłem pisać felietony, pracować w radlu, pojawiać się w telewizji. Rzuciłem się w działalność polityczną, jako rzecznik prasowy, a później także członek władz Unii Polityki Realnej. Przyniosło mi to pewną popularność, ale odebrało czas na pisanie i w dużym stopniu chęć do niego. W początkach

dekady wydałem wprawdzie zbiór opowiadań z prasy, których wcześniej nie miałem możności zebrać w książce, oraz ukończoną jeszcze w poprzednim ustroju powieść, lecz później nie powstawało już więcej niż jedno opowiadanie rocznie, czasem i tego nie.

Na początku roku 1995 zostałem zaproszony do USA na stypendium National Forum Foundation (obecnie wchodząca w skład Freedom Forum Foundation). Pracowałem w Partii Republikańskiej, uczyłem się polityki w najlepszym wydaniu – w zamierzeniu fundatorów miało to posłużyć temu, bym po powrocie do Polski użył swej wiedzy w praktyce. Niestety, skutek był dokładnie odwrotny. Wróciłem akurat w chwili, gdy proces tzw. integracji prawicy sięgał apogeum, ucieleśniając się w sławnym Konwencie św. Katarzyny. Przybyłem, popatrzyłem, porównałem – ręce mi opadły i straciłem wiarę, że kiedykolwiek da się z tym coś zrobić. Tą metodą pobyt w Ameryce zamiast uczynić ze mnie prawdziwego polityka sprawił, że w ogóle się z polityki wycofałem i wróciłem do pisania.

Już jadąc do Stanów, miałem w komputerze kilkadziesiąt stron pisanej od ładnych paru lat powieści "Pieprzony los Katarzyniarza" (część z tego opublikowałem "Voyager"); po powrocie usiadłem ją kończyć, w końcu zirytowany wywaliłem wszystko i zacząłem jeszcze raz. Tak w dwa miesiące powstał tekst, którym wróciłem na rynek. Miło mi przypomnieć, że mój osobisty powrót zbiegł się w czasie z powrotem rodzimej SF do księgarń po kilku latach chudych. "Pieprzony los Katarzyniarza" ukazał się był bowiem równocześnie z trzema innymi książkami, w ramach podjętej przez Nową, udanej akcji promocyjnej polskiej fantastyki.

Na rok następny nie zdołałem przygotować obiecanej powieści, złożyliśmy więc z dwóch opowiadań z początku dekady oraz dwóch nowych zbiorów opowiadań "Czerwone dywany, odmierzony krok". Wspomnianą powieść, "Walc stulecia", ukończyłem dopiero w roku 1998. Teraz pracuję nad następną. Zanim tę pracę ukończę, postanowiliśmy z wydawcą wznowić powieść "Wybrańcy Bogów", napisaną w 1988 roku i wydaną po raz pierwszy w 1991.

Co do innych spraw, to kilka lat temu podjąłem decyzję, by nie wiązać się żadnym etatem i jako publicysta – wolny strzelec żyć wyłącznie z honorariów. Jak na razie mi się to udaje, głównie dzięki korzystającym regularnie z moich usług państwowej telewizji (w paśmie śniadaniowym) i "Gazecie Polskiej".

RAZ



Uwaga na jaskiniowców!



Czy zauważyliście ostatnio w pobliżu ludzi jaskiniowych?

Tak, tak, istnieją oni jeszcze na tym świecie. Są doskonale zamaskowani i tworzą nowoczesną odmianę troglodytów, która porzuciła maczugę i używa obecnie bardziej wyrafinowanych środków. Wbrew pozorom – posiadają oni zadziwiająco wiele cech wspólnych z człowiekiem z Cro-Magnon i są doskonałymi, a do tego żywymi, przykładami prymitywnych okazów ludzkich z epoki kamienia łupanego. Zamieszczam tu w miarę (mam nadzieję) dogłębny opis przykładowego osobnika z tego interesującego gatunku.

Jak każdy opis, należy go rozpocząć od budowy zewnętrznej. Otóż jej najbardziej charakterystycznym elementem przypominającym małpoluda historycznego jest łysa pała (jeśli nie łysa, to w każdym razie pała), której kształt świadczy podobno o pojemności mózgu. Jak każdy bliski (i dalszy) potomek goryla (właściwie lemura, ale nie ma się o co kłócić) lubi on wtykać w uszy ozdoby przyciągające chętnie dzierlatki – przy czym zęby, dajmy na to, mamuta zastąpiły mu złote kolczyki. Podobnie jest z naszyjnikami z kości zwierząt (dziś też złote) i bransoletami (jak wyżej). Dochodzą do tego nowe adidasy za 1000 zł, szpanerskie ciuchy za 3000 i błyszczący zegarek za 10000. Można też (i trzeba) wspomnieć w tym miejscu o nieodłącznej części dzisiejszego jaskiniowca – o ukochanym pojeździe: sportowym, wyglansowanym na polsk, z napędem na cztery koła i przyspieszeniem 5 sekund na 100 kilometrów, o samochodzie, którym można ruszać z przyjemnym dla ucha piskiem opon.

Ale ważniejsze od prezencji jest to, co człowiek jaskiniowy ma w środku. A ma niewiele. Pojemność jego mózgu jest (jak już zasugerowałem) ograniczona, dlatego też wraca on do powszechnego u podobnych mu zwierzątek posługiwania się instynktem. Instynkt ów podsuwa mu skomplikowane i wyrafinowane potrzeby: kobiet i władzy, do której potrzebne mu są pieniądze (te zastępują nowy, przytulny szalas i ładną skórę niedźwiedzia dla zdobycianej samicy). Identyczne są zainteresowania jaskiniowca; jeśli zaspokoi swoje żądze, staje się Kimś przez bardzo, ale to bardzo duże „K”. Wtedy może wreszcie mieć wszystkich głęboko gdzieś – wszystkich, naturalnie, oprócz Jego Wysokości Siebie.

Osoba czerpiąca satysfakcję głównie z całkowitej dominacji nad innymi musi, oczywiście, często i gęsto wyładowywać agresję – na przykład bitem żony (o ile jakąś znajdzie) i dzieci. Jeśli ich nie ma, zawsze pozostaje jeszcze instynkt stadny – troglodyta dobrze czuje się w towarzystwie innych troglodytów. W takiej sytuacji, przy pięciu piwach, łatwo jest skanalizować nadmiar emocji uniwersalnym słowem: k***a., istniejącym i używanym chyba od początku świata. Jako wielofunkcyjne – całkowicie wypełnia ono potrzebę nazywania i oceniania (bo jaskiniowiec również taką posiada).

I jeszcze jedno – bliski krewny człowieka z Cro-Magnon namiętnie słucha pierwotnych rytmów – bo inaczej nie da się nazwać trwającej godzinami, niezmiennej, monotonnej i apatio-gennej rąbaniny, zwanej zwykle muzyką (!) techno. Przy czym jest, oczywiście, różnica – dwa miliony lat temu tańczyło się przy ognisku, dziś siedzi się biernie w fotelu, „uszcześliwiając” rykiem ze wzmacniaczy całe osiedla.

A jakiego tego wszystkiego morał? Chyba taki, że natura ludzka jest (prawie) niezmienna... Nie znaczy to jednak, że możemy cofać się w rozwoju do poziomu troglodytów. Więc – uwaga na jaskiniowców!

Marcin Szklarski

TROGLODYCI

Pamiętam, jakie emocje wzbudzała swego czasu ulepszona technicznie wersja czwartego epizodu „Gwiezdných wojen”. Wszyscy widzieli po dziesięć razy, a mimo to wydali dziesięć złotych, aby zobaczyć po raz jedenasty... Ja także poddałem się instynktowi stadnemu i wybrałem się do kina na rzeczony seans. Wrażen miałem tylko trochę więcej niż zwykle, jako że nie jestem maniakiem trylogii Lucasa, lecz tylko miłośnikiem – i nie potrafię rozpoznać, co się zmieniło w poszczególnych scenach. Fabuła pozostała, bądź co bądź, ta sama, tyle że film trochę się wydłużył. Seans przekonał mnie jednak dobitnie o innej rzeczy. Każda polonistka i Jacek Ingot powiedzą wam, że wartość danego utworu zależy w dużej mierze właśnie od jego uniwersalności. Tak jest i w Starlorsach. Oczywiście, kluczowa jest fabuła: magia, młodzienc ratujący świat, księżniczka, happy end, brakuje tylko żaby i połowy królestwa za żonę. Wszystko to uniwersalne.

Uniwersalna okazała się także widownia, którą stanowili głównie ludzie młodzi – znaczy, że trylogia ciągle zdobywa nowych widzów. Fajnie. Uniwersalność widowni przejawiała się też w nieco inny, mniej oczekiwany sposób. Każdy miłośnik Starlorsów wie, że traktują one o podstawowych wartościach w życiu człowieka, bazując na – opisujących je w równie podstawowy sposób – mitologiach. Jak się okazuje, film wzbudza też równie podstawowe emocje. Na ekranie scena w gwieździe śmierci: Luke otwiera drzwi do celi Lei i mamy ujęcie księżniczki. W tym momencie na widowni dał się słyszeć wesoły okrzyk: „-RZNI JĄ!”. Uniwersalność jak zwykle zwyciężyła! Zarówno pod względem przesłania (mitologicznie potraktowane dobro i zło), jak i pod względem odbioru wśród widzów (bo jeśli nawet ktoś taki ogląda Starlorsy, to znaczy, że nie jest źle). Co tam zamiana zwierząt gumowych na cyfrowe! Ważne to, że – czy ktoś fantastykę lubi, czy jej nie lubi – „Gwiezdne Wojny” ogląda.

Czy jednak oglądanie przez Troglodytę „Gwiezdných Wojen” świadczy o czymś poza faktem oglądania przez niego kolejnego filmu? Poza modą – chyba nie. Ktoś powie, że „Matrixa” też obejrzało niesamowicie dużo ludzi – ale ile w tym mody, skoro te bardziej hermetyczne filmy sf ogląda mniej osób? Żyjemy w kulturze plebejskiej (masowej) i moda jest dla ogółu jedną z najistotniejszych funkcji wartościujących. Stąd popularność Britney Spears (wybaczcie, że użyłem łamów „Informatora” dla zamieszczenia tego nazwiska...) czy choćby Marcina Dańca – kretyna przedstawiającego prymitywny humor dla idiotów (jako że nie znałem go wcześniej, wytrwale czekałem do końca tegorocznego kabaretu w Opolu – ale nie doczekałem się momentu, w którym można by było się roześmiać).

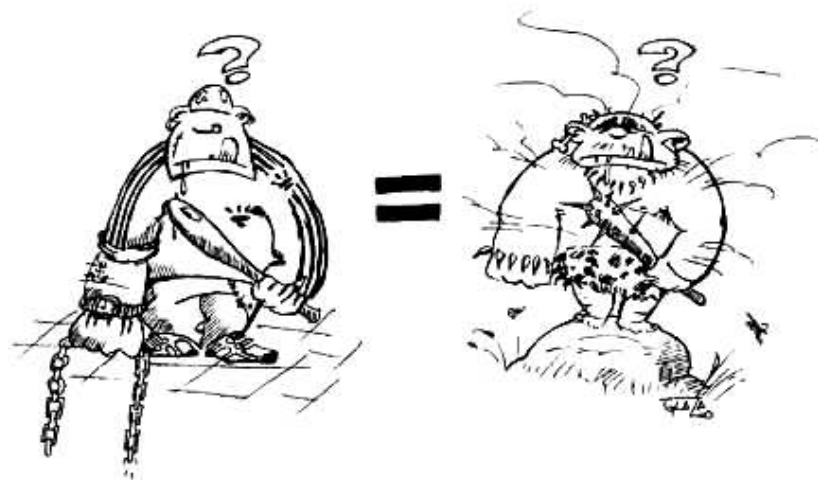
Słuchajcie, odkryłem właśnie, **dłaczego ludzie nie czytają/nie oglądają fantastyki**. Odpowiedź przyszła zupełnie niespodziewanie. W połowie sierpnia, mając wolne popołudnie w Zakopanem, zdecydowałem się pójść do kina, zamiast po raz n-ty lazić Krupówkami. Padło na „MI-2”, jako że to akurat grali. Jak to na prowincji (mój kumpel oglądał kiedyś w Ilawie pół „Sary” do góry nogami) – w czasie seansu z pięć czy sześć razy wysiadał projektor, co stwarzało niespodziewane przerwy na rozmowę. Z przerw tych korzystała siedząca przede mną para. Za którymś razem wymiana zdań dotyczyła różnych gatunków filmów – oto, co powiedziała między innymi ona: **„Ale science fiction to nie lubię. Tam trzeba ciągle myśleć. To jest debilne dla mnie”**. Odpowiedź jest zatem prosta – ludziom nie chce się myśleć.

➔ Przynajmniej dowartościować się można... Na szczęście debilizm to tylko jedna z przyczyn niechęci do fantastyki – inną („Fantastyka to literatura dla miłośników: kto nie lubi, ten nie czyta”) wymienia w cytowanym przeze mnie gdzie indziej wywiadzie Andrzej Sapkowski.

Ale wcale nie jest źle! W końcu nie o takich (jak wyżej) czytelników nam chodzi, możemy się bez nich obejść... Oby tylko pisarze mogli się wyżywić nie pisząc dla troglodytów!

Czego życzę wszystkim pisarzom

Michał Szklarski



GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

INFORMATOR

137

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

E-MAIL: gkf @ gkf.3miasto.pl

STRONA: www.gkf.3miasto.pl

REDAKCJA : Jan Plata-Przechlewski (red. naczej.), Grzegorz Szczepaniak

Tytus Mikołajczak (Internet), Krzysztof Papierkowski

GRAFIKI : Marek Dąbrowski (2, 10, 29), Bartek Glaza (13, 32),

Tytus Kamil Mikołajczak (19), Piotr Terszel (6, 14, 17, 21, 30),

Andrzej Wojciechowski (12)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYŃIA nr 10201853-237451-270-1

Nakład 500

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji